



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

WOLNE CHWILE.

Któż mi da skrzydła prawdziwej wolności, abym wzleciał i spoczął...

Psalm LIV, 7.

Skończył się wolny czas wakacyjny; z rozpoczęciem roku szkolnego, dla całego pokolenia dzieci, uczniów, podlotków nastaje epoka, w którą tylko: wolne chwile. Tylko chwile! I to cz jeszcze do zbadania, czy też w całej tej szyneryi wychowawczo-naukowej, która poania młodzież naszą, znajdują się też istotnie niej te swobodne chwile, w których umysł poczywa od nauki, uwaga i żywość temperantu od karności i rygoru, wyobraźnia od nancanych jej obrazów i pojęć, uczucie od tego ropowania w jakim jest trzymane, a młode wy od tego ciągłego napięcia, które musi arzyszyć wykładom i pracy przygotowawzej. Jeżeli uważamy za konieczne, aby młoz miała kilka tygodni wakacji dla odporku fizycznego i duchowego, to w ciągu tolnego roku niezbędnym jest także dobrze łożony i nigdy nie lekceważony odpoczn. k. pełna swoboda zostawiona dzieciom, i młozym i starszym, aby naprawdę w tej godzinie nej odetchnąć mogły ciałem i duchem. Nieety, nietylko w szkołach, nietylko we wzoroch nawet zakładach naukowych, w bursach, pensjonatach, w najstaranniejszym wychowadomowem, chodzi głównie o to, aby się młoz też jaknajwięcej nauczyła w jaknajkrótszym sie. Wypoczynek na ostatniem położono ejscu. Przeglądając regulaminy szkolne i pla-

ny domowego wychowania, ze zdumieniem się widzi ile tam godzin dziecko siedzi, uczy się, słęczy nad całą hydrą rozlicznych przedmiotów, a na wytchnienie ma rzadko kiedy godzinke, a w ciągu całego dnia, parę zaledwie razy to kwadrans, to 20 minut. Czy umysł i ciało są w stanie odpocząć w tak krótkim czasie? Gdzież tam! Zaledwie że mogą zacząć przechodzić od znużenia do wypoczynku, i nim myśl się otrzeźnie, nim się uczucie zerwie do ruchu, nim swoboda błysnie w głowie, a nerwy się odprężą, alisci już dzwonek nietościwy zmusza nieletni organizm do wprost przeciwnego stanu, znów się naciąga psychiczna ciężciwa i zmysły i duch pracują, męczą, wyczerpują się na nowo. Zmieniać programy szkół i zakładów naukowych trudno, a korzystać z nich trzeba, bo trzeba młodzieży dać wiedzę w przyszłości zawód do samodzielnej pracy, ale można obok tego nieuniknionego już przeciążenia w szkole, unikać go chociażby w domu. Dzieje się jednak najczęściej przeciwnie. W domu dziecko, wyrostek czy panienka, mają dodatkowo różne lekcy; uczą się klepać na fortepianie, czy jest talent czy go niema, uczą się języków paru, powiedziawszy szczerze, żadnego porządnie, bo kilka języków dobrze znać, to za wiele na taki młody wiek, uczą się robótek różnych, które psują oczy, a które nie wypadają jakoś tak ładnie i tak tania, jak kupione w sklepie lub odnośnej pracowni, uczą się malować na wszystkim, na porcelanie, szkle, drzewie, metalu, na kości i na skórze! Tyle tego! A ile to wszystko kosztuje pieniędzy, to wie ojciec rodziny, a ile zdrowia dzieci, to wie matka, bo aż nadto często zwywać trzeba specjalistów, to od głowy, to od nerwów, to od oczu i t. d., bo tak forsownie nakręcone małe ludzkie maszyny psują się ciągle, a czasem i przystają, zagrożone bardzo poważnie.

Każdy przyrząd, maszynę, wszystko narzędzie, które jest w ruchu czynnym, smarować

trzeba żeby dalej szło, nie skrzypiąc, nie pękając; młodzież tylko, te drobne narzędzia ludzkości, raz w ruch naukowy puszczone—pędzić muszą, pędzić naprzód, bez wytchnienia, bez ulgi prawie, bez spoczynku, byle na wyścig, kto pierwszy doleci, prędzej, prędzej! Doprawdy, że żal zbiera patrzeć na te setki rumianych i zdrowych dzieciaków, które z dziesiątym rokiem życia pochłania nowoczesny regulamin szkolny, aby je po latach ośmiu oddać blade, smutne, nerwowe, zniechęcone, z patentem wprawdzie w kieszeni, z medalem nawet srebrnym i złotym, ale cóż kiedy ze zdrowiem, aż nazbyt często szarpniętem. Nie zwalajmy jednak całej winy na urzędzenia szkolne, za mało poświęcające czasu na odpoczynek i gimnastykę; a zastąpmy te braki w domu.

Gdyby się wychowawcy istotnie głębiej zastanowili nad konieczną potrzebą odpoczynku młodych umysłów, gdyby zechcieli choć raz przewidzieć się dokładnie u specjalisty lekarza i psychiatry jak to mózg dziecka męczy się pod tyranią przeciążenia naukowego, a zdolności jego niszczej w zbyt ciężkim wysiłku, gdyby przerzucić chcieli tę smutną statystykę dzieci, które w ciągu lat szkolnych zaprzestały chodzić do klasy, zapadły na oczy; nerwowe migreny lub niezbadane niby jakieś bicie serca, gdyby dotrzeć chcieli do najgłębszej przyczyny tego rozdzierającego smutkiem pesymizmu jaki nurtuje kilkanastoletnie głowy, toby, nie namyślając się długo, od ręki, ulżyli tej walczącej gromadce i dali jej obok nauki—spoczynek, swobodę, parę godzin dziennie wolnych. Gdy umysł silniejszy, to i wiedza lepiej się przyjmie, na żyźniejszym gruncie lepiej chwyci korzenie i więcej się na coś przyda niż ten posiew nauki, rzucany na grunt wiecznie znużony, znudzony nareszcie jednodostajnością pracy i smętny od wyczerpania. Te wolne chwile są ogromnego znaczenia. Najpierw dla zdrowia, bo bez niego nie będzie nau-

ki, ani patentu, ani dalszej pracy i stanowiska, a potem dla rozwoju ducha, dla rozwoju indywidualności, dla rozbudzenia typowości w młodości. Bo jeśli wykłady, szkolny rygor, porządek raz przyjęty, ujednostajniają między sobą, uczniowie to w wolnej chwili każdy czyni co chce, sobą jest właśnie, oddaje się własnym upodobaniom, odnajduje siebie i dopiero wtedy rozwija się—człowiek.

Nauka robi z dzieci uzdolnionych ludzi do takiego, a takiego zawodu, ale swoboda, wolność użycia czasu, nieskrępowana na chwilę samodzielność wyrabia w jedność—człowieka.

Dopiero w wolnych chwilach można poznać dziecko, do czego dąży, co je zajmuje, do czego ma wrodzony pociąg, do czego talent, jakie ma przymioty i wady. W czasie wolnej takiej chwili prędzej poznać można czem kiedyś dziecko będzie niż przy najlepiej wygłoszonej lekcji. Ale niechże te chwile będą naprawdę wolne, niech młodzież bawi się, cieszy, weseli, rozmawia, zajmuje się wedle swej własnej inicjatywy, swego własnego natchnienia i nie narzucajmy im naszych doświadczeń życiowych w tym względzie, dajmy im na chwilę święty spokój, niech nie czują nad sobą ciągłego przepisu, ciągłego planu, bezustannej czujności argusowej, bo im nawet wolna chwila obrzydnie.

Pytano raz dwunastoletniej dziewczynki w godzinie tak zwanej „rekreacji“: „Dlaczegoż się nie bawisz?“ Dziewczynka odrzekła zniechęcona: „Kiedy nie mogę się bawić tak jak chcę!“ Na tę godzinę wydawano dzieciom z szafy różne zabawki, jednego dnia te, drugiego dnia tamte i bawiły się tem co im było dane, dziewczynka ta, więcej mająca inicjatywy od innych, znudziła się w końcu temi zabawkami i przymusem w wyborze zabawy i zapragnęła koniecznie iść do kuchni patrzeć jak robiono pierogi dla czeladzi. Placzem wyprosiła pozwolenie i z rozpromienioną twarzą rzuciła się do roboty, zmęczona pisaniem i graniem paluszkami lepiąc radośnie wielkie żytnie pierogi ze serem. Ucieszona wróciła potem do swej lekcji. Był to wrodzony, naturalny pociąg do zajęć domowych. Dziś jest to jedna z najlepszych gospodyń w swej okolicy.

Czas, oddany w ręce młodzieży do własnego rozporządzenia, to wyborny probierz jej charakteru, upodobań, cech osobistych, tak zupełnie jak i pieniądz, którym wypróbować można jak na giełdzie usposobienie dziecka, jego wartość rzeczywistą, nominalną i jego drobną monetę zachcianek, pragnień doraźnych, skłonności, wad i przymiotów.

Bardzo to ważna rzecz dowiedzieć się, czy dziecko będzie umiało samo się zabawić, co sobie wymyśli, jak czasu użyje. Jeśli ma za mało w sobie własnych pomysłów, to mu je trzeba podać, jeśli za bierne jest, to rozbudzić jego drzemające—ja, jeśli za gwałtowne i przyniosłoby sobie jakąbądź szkodę, to je pouczać i chronić, ale przede wszystkim niechże się samo umie bawić, cieszyć, zająć, odpocząć, bo przy nauce znów przejdzie pod kierunek i stanie się szeregowcem ślepo posłusznym. W wolnej chwili jest ochotnikiem, idącym z własnej pobudki na podbój wrażeń.

W takich chwilach, dostarczyć trzeba młodzieży wrażeń. Najlepszym, najczystszy, najbogatszym źródłem jest dla nich przyroda. To najdoskonalsza piastunka, towarzysza, i mistrzyni. To też niema większego dobrodziejstwa dla dziatwy jak swoboda na wolnym powietrzu. Zmęczone, zgnębione, przyciśnięte nawet, nauką dziecko, dostaje jakby skrzydeł wśród przyrody i budzi się z całych sił swoich fizycznych i moralnych.

Prócz niezbędnej potrzeby dla zdrowia, prócz korzyści dla samej nauki z odświeżenia sił umysłowych, prócz ważnej sposobności, która nam cechy osobiste dziecka odsłania, mają te wolne chwile jeszcze inną swoją stronę bardzo ważną, a bar dzo jeszcze zapomnianą w pedagogice współczesnej. Są w człowieku tajemnicze moce, ukryte uczucia zamknięte na dnie duszy objawy, stany, usposobienia, potrzebujące, jak wszystko, obudzenia,

rozwoju, podtrzymania, rozkwitu wreszcie. Te żywioły wewnętrzne wymagają swobody, trochę samotności, powietrza wolnego, jeśli się mają rozbudzić, działać i rozbłysnąć. Biada, jeśli by je rygor jakiś zdusił. Są rzeczy, które raz złamane, nie wstają, nie ich nie wskrzesi, skorupami na dno duszy opadną i będą wiecznym jej dysonansem. Każda szlachetniejsza dusza ma coś w sobie, co ją rwie do góry, zapal jakiś, uniesienie, miłość dla czegoś, pragnienie wybitne czegoś—i na tych skrzydłach rada się unosi ponad szarotę codzienną, ponad targi i rynki świata, ponad pospolitość i złość, małość i nudę ludzkich stosunków. Ten pęd podnioslejszy nie jest wcale tak rzadkim, ale niestety bywa zbyt często złamanym przedwcześnie, dlatego go mniej już u ludzi dojrzałych. Był, ale zniknął, zmarł.

Niejedna młodzieńcza myśl marzyła wśród walki o tem: „Któż mi da skrzydła prawdziwej wolności! abym wleciał i spoczął?“ Dźwigamy łańcuch doczesności, mniej więcej spokojnie, a jednak czasem, chcielibyśmy się tak unieść ponad ten wir powszedniości i wolni od potrzeb i małości życia utonąć w bezbrzeżnym kraju ideału błękitniejszą nad głowami ludzkości. Zrazu nieświadomo, potem pół jasno, dalej w całej pełni młodzież to wszystko odczuwa. Dziecko dziesięcioletnie miewa odczucia tego górnego lotu myśli, tego szerokiego szlaku uczuć i natchnień i zaduma się nieraz głęboko i zatęskni za nieznaną sobie jeszcze krainą i szuka chwili spokoju i ciszy, aby dalekie echa z niej posłyszeć. Ucieka do ogrodu, do lasu, szuka ukojenia swej małej duszyczce, aby pełną pierśią wezbrać i westchnąć mogła. Tak mały Mickiewicz rad szukał samotnych przechadzek, Słowacki przesiadywał godzinami w ruinach zamku na krzemienieckiej górze, Szyller rwał się za miasto na ów ulubiony swój wzgórek, kładł daleki otwierał się widok, a mały Goethe błędził po nocy długimi korytarzami staroświeckiego domu w Frankfurcie. Były to tajemnicze ich ducha potrzeby, tkwiące w rdzeni ich istoty. Już wtedy wrażenia dziecinne zarysowały w pamięci Mickiewicza pierwsze szkice mistrzowskich później obrazów wiejskiego dworu, sielskiej przyrody i jej nocnych nawoływań i kolorów; Słowacki napelił postaciami dramatu te szczyby zamczyńska ukochanego niegdyś marzeniami dziecka; Goethe w owych gotyckich framugach domu rodzicielskiego uchwycił postać Fausta dziecinną jeszcze fantazyjną ręką, a Szyller nauczył się pacholeciem rozumieć szept natury, jej słodycz i grozę. Bethoven kładł się wieczorami na mokrych oczeretach, aby podłuchać rytm wody, melancholijnie sącząc się po źdźbłach roślin, aby je potem, już mistrzem, ująć w takty symfonii, a Mozart o wschodzie słońca chwycił radośne krzyki ptasząt, aby z nich ułożyć weselny pochód Figara.

Dajcie, przez litość, dajcie czasu trochę wolnego, młodzieży, bez straży, bez programów, bez planów waszych, na to i po to jedynie, aby w tej świętej wolnej chwili, duch odpoczął od maszyneryi szkolnej i narzuconych więzów, a swobodnie strzepnął własnymi skrzydłami i żył choć chwilę pełnią własnego jestestwa. Nie znać czy to bynajmniej, aby puścić młodzież samopas na czas dłuższy, przecież mówię tylko o „wolnych chwilach“, do których i dziecko nawet ma prawo. Kto wie czy w życiu kiedyś wasza córka, wasz syn, będzie miał wolne chwile; ona może utonie w domowej krętaninie, od gospodarstwa, kuchni, dzieci, domu, nie będzie miała kiedy głowy podnieść ku górze, ku cudownym lazurom, ku wyżynom poezyi, ku szeptom piękna, niechże ma choć wspomnienia z chwil takich, kiedy mogła wpatrywać się swobodnie w bezmiar przyrody i w głębie własnej duszy. Ale jej dajcie te chwile kiedy jest jeszcze dziewczynką i życie od niej nie wymaga jeszcze całego jej życia.

Syn wasz może pracować będzie dzień cały w nudnym i uciążliwym biurze, w turkoczącej fabryce, w pracowni, w warsztacie, troski rodzinne go opadną, społeczne warunki ścieśniają

i będzie musiał walczyć co dnia, latami całymi i nie będzie miał kiedy głowy podnieść ku górze, ku cudownym lazurom, ku idealom śnionym na szkolnej ławie, więc niechże ma choć wspomnienia chwil wolnych, z dziecinnych lepszych dni. Ale mu dajcie te chwile, kiedy jest jeszcze chłopcem, uczniem, wyrostkiem i życie go jeszcze nie pochłania całego.

Psalmista Dawid, Król-Poeta, który, mówiąc nawiasowo, był wielkim psychologiem, określił wybornie to głębokie pragnienie ludzkiej duszy pragnienie wytchnienia, spoczynku, swobody. „Skrzydła prawdziwej wolności“, to jest myśl wolna, uczucie nieskrępowane, swoboda ducha ulatującego nad poziom marności ziemskich, w sferę, gdzie się tworzy dobro i piękno, gdzie błyskają wielkie pomysły, gorące natchnienia i najpiękniejsze ofiary. „Abym wleciał i spoczął.“ Tak, dla szlachetniejszych dusz trzeba wlecieć wyżej, aby naprawdę odpocząć, podnieść się, aby doznać wewnętrznej ulgi, docierać choć czasem do krainy wzniosłości, aby użyć istotnej nieśmiertnego ducha swobody. Dajcie, dajcie młodzieży więcej chwil wolnych, odrzućcie niepotrzebny balast dodatkowy w wykształceniu, nie przeciążajcie dzieci mnóstwem przedmiotów na pół tylko studyowanych dokładnie, pozwólcie im być więcej z przyrodą, nierzalujcie paru godzin dziennie na powietrze, ruc i swobodę. Te wolne chwile oplacają się sowicie na zdrowiu, na siłach do nauki, na doskonaleniu przygotowaniu się do praktycznych zawodów, na tem weselu ducha tak koniecznym w walce z trudnościami, ze współczesnym pesymizmem. Próbujcie z tym smutnym niepokojem, trawiącym obecne społeczeństwo właśnie dlatego, że się zanadto zapracowało i znużone drży do tego żelazca „wlecieć i spocząć.“

Szczesna.

Twórczość dramatyczna Juliusza Słowackiego

przez

Piotra Chmielowskiego.

(Dalszy ciąg).

IV.

Najsilniejszą stroną dramatów Słowackiego są ich dialogi i monologi. Rozporządzał wale poeta językiem i stylem, zdolnym do wyrażenia wszelkich uczuć na całej ich skali od słodyczy irzewności aż do przekleństw, barw i gromów. Język ten, „łśnił jak mozaika, śpiewał jak wiewi,“ upajał czytelnika i kazał mu zapomnieć o usterkach w charakterystyce osób czy w rękawieniu akcji. Tyle zasobów poezyi, pełnia wdzięku i blasku, lub siły, żaden z naszych dramatyków ani przed Słowackim ani po nim rozwinął.

Styl jego przez czas bardzo długi, bo przez cały okres najświetniejszej twórczości był, prawda jednostajnym, właściwym samemu poecie, bogatym w przenośnie i porównania, w zwoty oryginalne i śmiałe, w pewne przymiotniki i przyłówki, może, aż nazbyt często się powtarzające, lecz nadające odrębny tężyświat kolodidkcyi Słowackiego. Nie lubił on mowy pośmiałej, powszedniej, a unikał retoryki i deklaracyj; nie chciał się zniżać do kopiowania wykazów z języka codziennego, lecz tworzył połączenia słów niespodziewane i uderzające swoją swobodnością. Wszystkie jego osoby, od króla do błazna, od uczonego do prostego żołnierza przejawiały stylem jednakowym, czasami tylko zbarwionym pewnymi słowami, lub odmieniamy tokiem wyrazów. Język jego osób nie był takim charakterystycznym, nie znamionował odrębnych temperamentów, odrębnych umysłów.

odrębnych stopni ukształcenia, odrębnych zajęć w życiu. Jeżeli powiadano o postaciach Szekspira, iż wszystkie chorują na hipertrofię wyobraźni; to o postaciach Słowackiego możnaby powiedzieć, iż wszystkie zanadto są poetami, wyszli ze szkoły Juliusza. Dopiero pod koniec swego zawodu przed—masyanicznego Słowacki postarał się o charakteryzowanie ludzi za pomocą ich rozmów. Słabo mu się to udawało w „Balladynie“ — w osobie Grabca; zanadto sztuczności i Szekspirowskich reminiscencji było w jego Ślazi „(Lilla Weneda“), ale za to we fragmencie p. t. „Złota Czaszka“ owdładł on całkowicie stylem kontuszowym, zapewne pod wpływem rozczytywania się w pamiętnikach Paska i w Pamiętkach Imé Pana Seweryna Soplidy.

Czy dyalog Słowackiego ma przymiot dramatyczności, czy służy istotnie do posuwania akcji naprzód choćby tylko o odrobinę? Na takie pytanie trudno odpowiedzieć ryczałtem; potrzeba wszem porobić pewne rozróżnienia. Poeta z biegiem czasu udoskonalał dyalog swój nie tylko pod względem frazeologicznym, ale i dramatycznym, chociaż nigdy nie doszedł do całkowitego przystosowania go ku potrzebom i wymaganiom dobrze prowadzonej akcji; zawsze bowiem stawała mu na przeszkodzie lotność jego wyobraźni.

W samych początkach, w „Mindowem“, chociaż są już zarodki dramatyczności dyalogu ze w krótkich, zwiezłych a dobitnych pytań i odpowiedziach, nie ma wszakże konsekwentnie przeprowadzonej dążności w tym kierunku. Przeciwnie, pomysły rodzące się przypadkowo przez asocjacje wyobraźni bardzo często przedrwywają naturalny bieg akcji, w bok ją skręcając. Nie mogąc tu się rozpisywać w tej mierze, poprzestanę na jednym przykładzie, wziętym z I zaraz sceny dramatu. Gdy Krzyżak Herman, poseł papieski, kazał rozesłać przysłane z Rzymu kobierce dla króla Mindowy, co właśnie chrzest miał przyjąć, Trojnat, synowiec króla, chce na nie wstąpić, bo mu przypomniały łąki włoskie; krzyżak go powstrzymuje uwagą, że on, Trojnat, nie ma jeszcze szaty chrześnej, więc mu niewolno dotykać kobierców rzymskich. Wówczas Trojnat, ambitny i dumny, zdradza może mimowoli swe dążenia, pytając, czy będzie mógł stąpić po tych kobiercach, gdy zostanie królem i to królem—niechrześcijaninem, dodając: „jam dziedzic korony; kto wie, czy będę czekał, aż losu kolejną spadnie na mnie dziedzictwo?“ Jestto dyalog niewątpliwie dramatyczny i to w wysokim stopniu; mieści już bowiem w sobie odpowiedź przyszłej działalności Trojnata, który gotów przeciw stryjowi wystąpić, ażeby przytępić chwilę włożenia korony na głowę. I gdy Słowacki tak rozpoczawszy utwór, poszedł dalej konsekwentnie w myśl słów wypowiedzianych przez Trojnata, gdyby go był zrobił współawodnikiem Mindowy, broniącym starej wiary, stworzyłaby się odrazu silna kolidyza, która bez ślaga żadnych doprowadzić by musiała do katastrofy. Ale poeta nie umiał utrzymać Trojnata w charakterze, zarysowanym w pierwszej scenie, gdzie się tak pewnym siebie i swojej przyszłości wyraża; zrobił go narzekającym rusiatkiem w klasztorze, a melancholicznym męczycielem po zabiciu dzieci Mindowy. Dyalog z I sceny, tak dramatyczny w pomysle, pozostał tylko przejawem chwilowych uczuć Trojnata i nie stał się zawiązkiem dalszej akcji.

W latach późniejszych umiał Słowacki lepiej ustosunkować słowa względem czynów. Niepodobna wprawdzie dopatrzeć ścisłego stopniowania w udoskonaleniu dramatyczności dyalogu miarę tworzenia sztuk nowych; bo częstokroć klapytyki osiągnięte w dziele wcześniejszem, nie wykazują się w następnych; ale w każdym razie Słowackiego rozstępu między wyrażeniem w mowie i myśleniem a dalszym działaniem, jaki zaznaczyłem o „Mindowie“, nie spotkamy już nigdzie. Znajdują się jeszcze naturalne dyalogi przydługie, męczące znamiona epiczno-liryczne; znajdują się także całe szeregi rozmów zbytecznych dla akcji, choć pięknych same przez się; lecz daleko częściej dyalog bywa poprzednikiem działania.

Powołałam się na parę przykładów.

W „Maryi Stuart“ słowa królowej wypowiedziane w rozdrażnieniu do Duglasy: „A gdy pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca, może ją weźmie ręka, co o struny trąca“—stają się zawiązkiem akcji, skierowanej przeciw harfiarzowi, a zarazem przeciw królowej. Nie dochodzi wprawdzie do tego, żeby pieczęć miała istotnie przejść do rąk Rizzia—bo Marya nie myślała o tem na seryo—ale wskutek owych słów królowej rzecz dochodzi do króla, tworzy się spisek i Rizzio ginie z rąk Duglasy.

W „Mazepie“ z wyjątkiem paru scen aktu I-go, nie mających żadnego znaczenia pod względem rozwoju działania, wszystkie dyalogi, choć czasem za długie, mają cechę istotnie dramatyczną; a niektóre z nich co do żywości i ciętości nie mają sobie równych (np. scena XII i XIII aktu I-go).

W „Lilli Wenedzie“, wyjąwszy dyalogi Ślaza i Św. Gwalberta, które w posuwaniu akcji nie uczestniczą, wszystkie inne rozmowy są tak dramatycznie ustosunkowane, że ich niezbędność staje się widoczną. Zarówno rozmowa w I-jej scenie aktu I-go, kiedy przyprowadzają jeńców wenedyjskich, jak III-ci tegoż aktu między Lechem i Gwinoną, jak wszystkie, gdzie występuje Lilla jak ostatnia, gdzie nadzwyczaj efektownie rozstrzygają się losy Wenedów, są konieczne nie tylko dla poznania charakterów, ale i dla zrozumienia rozwoju akcji, lub jej zamknięcia. Zapewne, przemowy Lilli są przeniknięte liryzmem i są, jak na potrzeby dramatyczne, trochę za długie; lecz ponieważ odpowiadają doskonale charakterowi bohaterki, niepodobna ich nazwać wadliwymi nawet ze względów czysto dramatycznych.

W innych dramatach, o których szczegółowo tu nie wspominałem, spotykamy dyalogi natury mieszaney, t. j. częścią epiczno-lirycznej, częścią dramatycznej. Za przykład mogą posłużyć: rozmowy Szczęsnego z Amelią w „Horsztyńskim“, rozmowy Gianiego z Beatrycą Cenci, dyalogi w „Balladynie“ i „Niepoprawnych“, oznaczające się świetnym polotem fantazyi.

Monologami we właściwym znaczeniu wyrazu t. j. mowami wypowiedzianymi wobec widza myśli lub uczucia bohatera, walki wewnętrzne z sobą staczane, rzadko się posługiwał Słowacki, okazując tem trafne zrozumienie zadania dramatyka, mającego działać na widza środkami bezpośredniej i dotykanej rzeczywistości, odbywającymi się przed jego oczyma. Monologi, jakie znajdujemy w dramatach Juliusza mają charakter wyłącznie i ściśle dramatyczny i są one wyrazem nie tylko stanu duszy bohatera, lecz także jego stosunku do danej określonej sytuacji. Takim jest np. monolog Heidenricha (w „Mindowie“), kiedy, oddaliwszy mnichów z celi, rozmyśla nad tem, co ma począć i patrzy na oblakaną Aldonę. Takim jest monolog Maryi, kiedy oddawszy Botwelowi lampę z przed ołtarzyka, ma widzenie swojej przyszłej kaźni. Takim jest monolog Kordyana, staczającego straszną walkę z własnymi przywidzeniami, które poczytuje za zjawiska zewnętrzne. Tak przemawia do siebie Wojewoda w przedostatniej scenie „Mazepy“, kiedy daje poznać, jaki rodzaj zemsty wywarł na pazu królewskim.

Z powyższych wywodów i napomknien łatwo wyprowadzić wniosek, że ten najbardziej zewnętrzny środek artystyczny, jakim jest dla poety słowo, był traktowany przez Słowackiego przeważnie w sposób prawdziwie dramatyczny, a jakkolwiek obfitość i rodzaj fantazyi unosiły poetę na drogi boczne w tworzeniu charakterów, w rozwijaniu wątku, w obmyśleniu kolidyzy i kreśleniu sytuacji; w dyalogu trzymał się on toru najwłaściwszego dla dramatyka i umiał wyzyskać potężny swój talent ra rzecz tego rodzaju literackiego, który przed nim tak niewiele miał uzdolnionych przedstawicieli.

(Dokończenie nastąpi).

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—*—

(Dalszy ciąg).

Żona i córka z niepokojem pewnym czekały na Sośnickiego: Zrazu myślały, że poszedł do syna, ale przybycie nad wieczorem pana Aleksandra przekonało o błędzie mniemania i zdwoiło niepokój.

— I co się z Mateuszem zrobiło?

— Dokąd mógł zajść?

Zwracały się do siebie z pytaniami Sośnicka i panna Jadwiga.

— Możebyś, Olesiu poszukał ojca— szepnęła siostra, gdy matka wyszła z pokoju.

Aleksander wzruszył ramionami.

— I czego się niepokoiacie, baby?—zawołał.— Pewnie sobie stary do handelku z kimś zaszedł a wam się wątróbka trzęsie.

Na twarz panny wystąpił rumieniec oburzenia.

— Kto ciebie w podobny sposób nauczył się wyrażać? Zdaje mi się, że w domu rodziców wychowanie otrzymałeś staranne?

— Cóż chcesz, kiedy zapomniałem nawet jak wygląda „Wiązanie Helenki.“

— Nie zaszkoziłoby przypomnieć—

— A ja sądzę, że wypadałoby zapomnieć już o wielu rzeczach.

— Dajesz tego żywy przykład.

— Nie smuci to mnie wcale! Patryarchalność rodziny była pierwszym zawiązkiem późniejszych satrapów.

— Jesteś więc nieprzyjacielem rodziny nawet?

— Największym dla mnie jej pojęciem—jest ludzkość!

— Ach, słyszałam już o tem nieraz,—odparła z niechęcią Jadwiga.— Ojczyzna—ludzkość, rodziną—ludzkość! Ta ludzkość tylko nie spędzała nocy bezsennych przy twojej kolebce.

— Poezya! zabijająca nas zawsze poezya!...

W tej chwili chrząknięcie w progu oznajmiło przybycie Sośnickiego. Jadwiga zwróciła się szybko i podbiegając do ojca, zawołała:

— Tatusiu!... i gdzież to tatuś bawił?

Sośnicki ręką machnął—

— Dzień dobry, ojcze, — odezwał się Aleksander.

— A—ty?... Miałem zajść do ciebie, Olesiu—ale...

— Dawnym obyczajem—dokończył Aleksander,—najdalszą zawsze obieramy drogę, ażeby dojść celu.

Pan Mateusz raz jeszcze machnął ręką i zwrócił się do córki:

— Matka jest?—spytał.

— Jestem, mężu—odezwała się, wchodząc pani Marta,—ale gdzieś ty się zabłąkał i długą nieobecnością swoją tak nas zatrwodził?

— At! — mruknął pan Mateusz, siadając przy stole.

— Schowałyśmy dla tatusia obiad, który teraz tatusiowi jako wieczera służyć będzie,—rzekła Jadwiga.

— Dziękuję ci, kochanku—ale jeść mi się nie chce.

— Czy ojciec jadł co?

— Byłem u Colliniego.

Aleksander parsknął śmiechem.

— Co to jest? — zwrócił się do syna Sośnicki.
 — Upewnianie się coraz większe, ojcze, że my—młodzi (młodość nam wciąż zarzucają) znamy się trochę na ludziach. Mama i Jadzia okropnie niepokoiły się o ojca, wysyłać nawet mnie chciały na poszukiwanie zaginionego skarbu... ja jeden przekonywałem ich, że ojciec z Sałacińskim jakimś jakiegoś handlu sobie zaszedł.
 — Spotkałem się z Laminowskim...
 — Pomyliłem się tylko w nazwisku, ale treść poematu ta sama...

Sośnicka i Jadwiga czekały dalszego opowiadania pana Mateusza, ale ten zamysłił się chwilę, później, jakby coś przypomniał sobie, czknął krótkim śmiechem i wpół do siebie się odezwał—

— Ot, oszczędność!...
 — Co, tatusiu?—spytała Jadwiga.
 — Zaoszczędziłem swoją porcję obiadu... Zjesz ją może Oleś... A—szubrawiec! — dodał nagle.
 — Kto? ja?—odezwał się, jakby przestraszony trochę, Aleksander.
 — Ależ o Laminowskim mówię—znacie go przecie, Ignacy Laminowski z Merchlaczki?
 — Co on tu robi?

— A myco robimy?...—na pytanie syna odrzucił Sośnicki.
 — Aha!...
 — Ignacy—Laminowski Ignacy...—szeptał do siebie pan Mateusz... — Uważaliśmy go zawsze za porządnego człowieka, kilkakrotnie był deputatem z grona naszego wybranym, na przedostatnich wyborach o mało—był marszałkiem nie został. Co się teraz zrobiło? jak szybko los ludzi wytrąca... przeobraża... zmienia?

Opowiedział rodzinie swoje spotkanie się z sąsiadem i przyjacielem dawnym.
 — Ale przynajmniej—kończył—Olesiowi naszemu pomógł!...
 — Mnie—jako mnie?—zapytał Aleksander.
 — Zaasekurował u ciebie życie swoje i namówił tam jeszcze kogoś... Gadał o sztabie całym.
 — A to łgarz!—zawołał Aleksander, zrywając się z krzesła.

— Jakto—nie był, nie ubezpieczył życia swojego w swojej agenturze?...
 — Nie wiedziałem wcale, że on tu jest...
 — No—patrzcie... a ja mu podziękowałem nawet... Obiecał i mnie posadę jakąś wyrobić, zapewniał, że już mam z pensją trzysta rubli kwartalnie.

— I ojciec paru butelkami wina wywdzięczył się mu będzie musiał à conto obiecanki.
 Sośnicki podrapał się w głowę.
 — Nie—tylko— —
 — Już ojciec coś z majstrował— —
 — Ma przychodzić codziennie do mnie na śniadanie o godzinie dwunastej.

— A co!—krzyknął Aleksander, — nie mówię? Jak ja znam tych ludzi, jak ja ich znam do szpiku kości!
 — Bój—że się Boga, Mateuszu!—odezwała się pani Sośnicka. — Mieć takiego gościa codziennie u siebie, to nie tylko, że nie jest zabawne, ale wprost—nieprzyjemne.
 — A czyż spodziewałem się tego? Sam się wprosił—gdzie tam się wprosił! Kilkakrotnie na uczciwość zaprzysięgł, że przychodzić będzie, choć słowo wam dają, nie prosiłem go wcale.

Na twarzy Sośnickiej wybiło się niezadowolenie, zbyt łatwo dostrzeżone przez Jadwigę.
 — Dobry polityk z ojca, niema co mówić, — odezwał się Aleksander, klepiąc poufale po ojcowskiem ramieniu.
 — A cóż miałem zrobić? Zresztą—kto wie—obiecał mi jakąś posadę— —
 — Obiecanka...
 Wzrok Jadwigi nie pozwolił Olesiowi dokończyć zdania.

— Miałem powiedzieć: gruszki na wierzbie— —
 — A jeżeli?...
 — To jeżeli jest zabijające, — zawołał podniesionym głosem Aleksander.—Nadzieje, nadzieje i nadzieje!... Bez tego pasztetu nie możemy się obejść za nic, choć wróble już świergocą na dachu, że nadzieja jest...

— Olesiu!—stanowczo odezwała się Jadwiga.
 — Będziemy mieli codziennie pana Ignacego Laminowskiego na rannem śniadaniu, chciałem powiedzieć—a pewnie, że je za trzech?
 Sośnicki potarł czoło.

— Na brak apetytu nie uskarża się,—szepnęła.
 — A co—nie mówiłem? Znam ja tych wszystkich! Ha! cóż robić, panie ojcze. Pan na Merchlaczce ucierpiał przecie mu nie pożałujemy kawałka pieczeni?
 — Otóż to właśnie, — rzucił szybko Sośnicki.—Choć tam, Bogiem a prawdą Laminowski ale zawsze, dawny sąsiad.

— Trochę przyjaciół, — mruknął Aleksander.
 — Kilkakrotnie z grona naszego deputatem wybierany.
 — Na przedostatnich wyborach o mało marszałkiem nie został,—dodał drwiąco Aleksander.
 — Aleśmy obrali znów Horwata—rzucił Sośnicki.

— I ten zakończył seryę marszałków—dokończył Aleksander.
 Sośnicki poruszył głową westchnął, a Oleś zaś śmiał się cicho...

— Jadziu! zwrócił się do siostry—pamiętaj, ażeby codziennie obrus był czysty dla pana deputata.

— O porządku domowe niech już ciebie głowa nie boli—odpowiedziała Jadwiga—co się zaś tyce pana Laminowskiego, ja go biorę na siebie.
 — Za ciężki—szepnęła Oleś.
 — Jesteś nieprzyzwoity! zgromiła Sośnicka syna.

— Pewny jednak jestem, że Ignacy się wpaakuje i będzie codziennie przychodził do nas, bo jak zauważyłem, to on tylko patrzy, gdzie z kominą kurzy—zaczął Sośnicki.
 — Bądź, ojcze, spokojny — Limanowski nie zagrzeje u nas miejsca.
 — I cóż ty poradzisz? zapytał Aleksander.
 — Na dni parę zrobi mnie mateczka gospodynią domu.—Dobrze, mam?

— Przecie nią jesteś, moja Jadwisiu—rzekła pani Marta.
 — Zasadzka na wilka! zaśmiał się Oleś.
 — Nie wyrządź mu tylko, Jagdeńko, impertynencyi jakiejś—zaniepokoił się pan Mateusz.
 — Za drzwi nie wypalantuj czasem—dorzucił Aleksander...
 — „Wiązanie Helenki“ mam w pamięci—odpowiedziała siostra.

Na śmiechu i żartach, przerywanych sprzeczką niewielką między bratem a siostrą, wieczór przeszedł w nowem pomieszkaniu państwa Sośnickich. Stara Janczewska przypuszczona była do towarzystwa państwa, przysiadła nawet na krzesło stojącym przy drzwiach, zażawionemi oczyma niemal patrząc na Jadzię, która rozpędziała smutek raz wraz okrywający czoło ojcowskie, podtrzymywała upadającą wciąż energię matki. Z Olesiem odrobineczkę się kłóciła, a ile razy skierowała wejrzenie swoje na Marcie, uśmiechała się do niej, że aż starej niani serce się radowała. Nie obeszło się bez wspomnień o Sośnicy, o wypadkach, które poprzedziły jej opuszczenie, o tajemniczym brzęknięciu szyby, na które to wspomnienie dziś jeszcze Janczewskiej włos się jeżył.

— Nieczysta siła—szepnęła, choć niejednokrotnie powtarzana przez Jadwigę opowieść o tej nocy kwietniowej, powinna dawno uspokoić zaobonny umysł starej piastunki.
 Wspomnienia dni przeżytych, zawodów i smutków doznanych, nie mogły dawnym mieszkańców Sośnicy kołysać do marzeń słodkich. Było to morze cierpień wielkich, nieukojonnych ni-

gdy i niczem, a jednak drażniono wciąż ją trzęcą się raną, jakby w tem powtarzaniu bólu znajdowano ulgę dla siebie. Jeden tylko pan Aleksander, z uśmiechem ironicznym na ustach, kołysał się rozparty w fotelu; bąknął nawet słów parę, które jak zgrzyt żelaza dreszczem przeszły po ciele obecnych, lecz zażawione spojrzenie matki, wzrok siostry zbyt wymowny, pohamowały nieco zapędy pioniera nowych idei. Janczewska, nie rozumiejąc słów panicza: „aj, aj, aj!“ powtarzała, ruszając osiwiałą głową, pan Mateusz szepnął: „Sznujcie się i sznujcie!“ Jadzia poważną było—dla niej przeszłość z przyszłością się łączyła, bo w tych obu odłamach życia: wiadomego wczoraj i jutra zakrytego mgłą tajemniczą—stała postać Gustawa ubrana w szaty najpiękniejszej poezji. Czoło Jadwigi najlżejszy obłok niepewności czy zwątpienia nie okrył ani razu, spokojnie patrzyła w dzień jutrzejszy, zadając tylko czasami gwałt sercu, które biedz chciało przez pustynie bezbrzeżne, przez stępy śnieżne, gdzie zapatrzoną w pożar chmur siedziała Eloë melancholijna gwiazda we włosach rozwianych... I możeby pobydła za tem wołaniem serca, lecz powstrzymało ją trwożne spojrzenie rodziców, pisane słowa Gustawa:

— Zostań! pilnuj gniazda rodzinnego — ja wrócę!...
 I uspokoiło się serce na ten wyraz magiczny: wrócę!... i z uśmiechem witała każdy wschód słońca, z radością każdy zachód żegnała. Czasami Marcia tylko bąknęła o przeniewierstwie mężczyzn,—lecz słowa starej piastunki odpadały jak bryzg fali od skały.

— Gustaw nie zapomni—szepnęła Jadwiga—on umie kochać, poświęcić się, cierpieć dla miłości i umrzeć dla niej.

I w marzeniach Jadwigi kochanek w bohatera urosł i więcej już dziś kochała bohatera, niż kochanka dawniej—choć się czasem kocha marzenie własne, sen piękny, urocze widziadło duszy

Gdy Oleś wyszedł, rodzice się do snu udali napróżno Jadwiga namawiała starą piastunkę ażeby i ona na spoczynek poszła:

— Nie i nie!—odpowiadała Marcia, muszę rozebrać ciebie, zakoiysać, bajką uspić, jak usypiałam dzieciątko małe.

Trudno się było sprzeciwić niani, dla której przepędzenie chwil kilku przy ukochanej Jadzie cały dom uśnie, wszystkie światła pogasną, było szczęściem wspomnień, jakimi starość pieścić się lubi, przez które do życia powołuje wszystko, co minęło bezpowrotnie. Ten upiór Janczewskiej nie robił i pannie Jadwidzie przy kroci żadnej. Dobrze jej było, gdy stara dla piastunki rozplatała i splatała jej warkocze, gdy leżąc już w pościeli, widziała przez lampkę nocą odbity cień Marcia na ścianie, gdy usłyszała jakieś słowo przypominające jej przeszłość ta niedawną, gdy czasem z ust piastunki piosenką jakąś wybiegła albo bajka słowami wyszeptanymi cichymi, przy której zamykały się do snu powieki, sen sływał na oczy, dając marzenia słodkie unosząc duszę w zaczarowany kraj fantazji.

Janczewska miała niewyczerpaną skarbnicę tych bajek. O śpiących królewnach opowiadała o rycerzach w stal zakutych, o błądzących duchach i upiorach i o rusalkach w głębiach wod mieszkających, których zadaniem było niegodzić w toń srebrzystą kochaneków sprzeniewierzących się przysiędze świętej. Jadwiga słuchając opowiadań starej niani i duszę jej owiewał czyny niewypowiedziane. Myśl jej odrywała się o chwili obecnej, wracała do porzuconych na wszelkie kraje przeszłości, do tych lat dziecinnych w których życie wszystkimi tętnami żył bijącym się marzenia tężowe, roztaczając kręgi coraz dalsze i coraz piękniejsze.

Czarowne złudzenie!
 Głos piastunki, w jakiś szepć cichy, w jakimś senną kołysankę się zmienia. Zdaje się, że słyszy miarowy sznery na biegunach osadzonej kołyski, że lekkim ruchem kołysze się nad zasłoną białą, że dobry Anioł—Stróż dłoń miękką na dziecka powieki kładzie i gdy dookoła br-

ciche: luli! on szeptce: śpij—spij! pod osłoną skrzydeł anielskich—spij!

I dzisiaj, gdy oczy panny Jadwigi zaczął sen kleić, wydało się jej, że jest malutkiem dziećciem w przytulnej kolebce złożonym. Słyszyc najwyraźniej słowa piastunki, monotony szept bajki, coraz cichszy, coraz powolniejszy, rozplywający się w nieogarnionej przestrzeni jakiejś.

„Był król, na wspaniałym zamku mieszkał,— miał córkę, którą kochał nad życie, bo jedynaczką była. W komorze zamkowej, strzeżonej przez szesnastu olbrzymów w zbrojach żelaznych i przy mieczach ostrzonych, stały skrzynie złota pełne, brylantów, koralu i pereł. A państwo tego króla rozciągało się od morza do morza, opierało się o góry wiecznymi lodami pokryte, miało jeziora tak przezroczyste, że każdy mógł widzieć jak na dłoni, co działo się w toniach wodnych. Granic tego wielkiego królestwa pilnowało stu rycerzy tylko, ale każdy z nich w swej pierś miał serce lwie, a siłę tak olbrzymią, że jednym uderzeniem dłoni walił mury forteczne, jednym spojrzeniem zatrzymywał mnogie zastępy rycerskie krain obcych, idących na podbój tego królestwa. Pod opieką takich siłaczy spokojnie żył król i królowa, która, gdy się zjawiała rankiem wczesnym na krążanku zamkowym, taki blask bił od niej, że rycerze mówili:

— „Zorza wschodzil!..“

„Przyjeżdżali króle i książęta z państw sąsiednich, przywozili dary bogate, chcąc posiadać rękę królowy,—ale ona obojętnie oczyma patrzyła na te podarunki królewskie, nie ośniewało jej wzroku złoto, które, aż nadto miała, nie odurzała jej blask koron u stóp składanych, przedzie i jej skroń korona wieńczy, cenniejsza nad inne, bo krom kamieni drogich, z miłości jeszcze ludów jej podwładnych spleciona. I odjeżdżali króle i książęta, wracały posły krain ościennych, niosąc panom swoim odpowiedź odmowną. Na dwór królewski zjeżdżali się królowie, piękni jak marzenie, na turniejach zręcznością i siłą rycerze się popisywali, tysiąc serc męskich płonęło ogniem, ale serce królowy spokojnie biło w jej pierś.

„Niepokoił się król—ojciec.

— Co tobie, dziecko? pytał.

„A ona odpowiadała:

— Nie kocham!

„I odstąpili ją wszyscy, myśląc, że ma serce kamienne.

„Ale piękność królowy, bogactwo i przyszłe dziedzictwo tronu spokojnie spać nie dawało książętom ościennym.

„I oto razu pewnego—gdy od lat wielu, a wielu nie zaszczeakał oręż na państwa granicy bronionej przez niepokonanych rycerzy—olbrzymów—pospali się rycerze. Uspiała ich cisza i pewność potęgi. I porzdewiała miecze w długim spoczynku pozostające, tarcze mchem obrosły, przyłbice nasunęły się na czola, że nie widzieli kiedy wschodziło, a kiedy zachodziło słońce. Ze snu tego skorzystali ci, którzy gniewni byli na królowę za obojętność jej, czy dumę, czy udawaną nieczułość serca... I gdy rycerze czy udawaną nieczułość serca... I gdy rycerze spali, a ona odpowiadała królowi—ojcu: „Nie kocham!...“ napadli zawistni na kraj bezbronny i niszczyć wszystko i mordować wszystkich zaczęli. Gwar boju zbudził rycerzy, ale sen długi odjął im moc i siłę. Jedni schowali się w góry, inni swe miecze do rąk zwycięzców złożyli, inni ze strachu pomarli. Jeden tylko był, który spojrzął na zamek królewski, na zagrożone dziedzictwo królowy i prędko ze snu się otrząsł... Przyszedł na dworzec i przysiągł, że miecza nie złoży, snu nie zazna, dopóki zagrożonego nie uratuje państwa.

„I poszedł.

„Długo a długo żadnej wieści o rycerzu nie było,—długo nikt z żywych nie wiedział, dokąd poszedł, co robił?... W nocy tylko hen, hen—słychać było stłumione chrzęsty i szczęki trwała walka okrutna, zmieszana z biciem dzwonów, jak na pożogę wołającym.

„W zamku królewskim niepokój był i trwoga... wiadano tam, że z tysiącami walczył tylko rycerz jeden. Lecz z dniem każdym oddalała się łuna pożarów, słabły z dniem każdym te chrzęsty słyszane i nie wiadano nic co się dzieje na tysiącokilometrowym obszarze krainy.

„Dnia pewnego na krążanku zamkowym stała królowa i zobaczyła kruka lecącego...
— Stój, kruku, stój! zawołała.

„A gdy się zatrzymał spytała kruka...
— Zkąd lecisz?

— Z boju—odpowiedział.

— Co niesiesz?

— Wieść o boju.

— Kto walczy?

— On!

— Błogosławie ciebie, rycerzu! szepnęła królowa...
„ I znowu wieści żadnej.

— Aż oto biały śnieżystym skrzydłem gołąb wionął...
— Stój, stój—gołębiu—zawołała królowa.

I dała mu takie same pytania, jakie krukowi dawała, a on to samo, co kruk odpowiedział.

— Zanieś mu pierścień ten, niech on mu sił dodaje...
„I znowu cisza długa, męcząca, jakby hen—hen, daleko na mogiłach już zapomnienie usiadło.

— Aż oto zawił skowronek nad krążankiem pałacu... i królowa rzuciła te same pytania, jakie kruk słyszał i gołąb słyszał i skowronek odpowiedział to samo, co kruk odpowiedział i gołąb.
— Zanieś mu pukiel mych włosów, niech on mu sił dodaje—rzekła królowa.

„A wbiegłszy do pokoju ojca w ramiona mu się rzuciła i zawołała z płaczem.

— Kocham, mój ojcze—kocham!...

„Ale już żaden ptak nie przylatywał, nie było komu pytać rzucać, ni odpowiedzieć czyich słuchać... I znowu długa, nie przerywana niczem cisza zaległa do koła; trzy razy już zielenią pokryła się ziemia, rosna i zakwitają kwiaty, a o rycerzu wieści żadnej nie ma—i niemal!..“

— Wróci—wróci!.. szepnęła Jadwiga, gdy głos piastunki zmiłkł jak echo.— I usnęła przy tym szepcie słów własnych.
Dzień był jasny, gdy otworzyła oczy...

Wyskoczyła z pościeli lekka i rzeźwa, jakby wzmocniona snem dobrym i ubrawszy się szybko pobiegła do pokoju matki, by wedle dawnego zwyczaju najpierwszy dzień dobry jej powiedzieć i Marcysi wydać dyspozycję obiada. Ale przebiegając przez pokój jadalny zatrzymała się nagle przed wiszącym zegarem.

Dziesiąta?

— A, spiochu! odezwał się tuż za nią głos pani Sośnickiej...

Na twarz Jadwigi wystąpił rumieniec wstydu...
— Czy naprawdę, mamu—dziesiąta?...

— Jesteśmy już po herbacie.

Jadwiga załamała ręce...

A tu Janczewska z zostawioną herbatą dla panienki wchodzi.

— To twoja bajka, Marciu!—zawołała Jadwiga, grożąc zadowolonej piastunce z mimowoli uczynionego figle...

— Może moja, a może twoja bajka—rzekła Janczewska, ale sen Jadzi posłużył. Pani serdeczna—zwróciła się do Sośnickiej,—niech pani spojrzy tylko, jak Jadzia ślicznie dzisiaj wygląda!

Rzeczywiście—Jadwiga wyglądała przeslicznie.

Po nużającej podróży, kłopotach przenosin, pierwszych nocach bezsennych, wywczas dzisiejszy był czarodziejskim balsamem. Piękna zawsze, dziś była tak uroczo piękna, że w godzin parę ze zdziwieniem spojrzęła na wchodzącego mężczyznę, który stanął w progu, usta otworzył i wpatrywał się w stojącą o kroków parę Jadwigę—jak w cudowne zjawisko.

Lecz dla panny Jadwigi ten gość nie był wcale cudownym zjawiskiem. Gapiowata mina stojącego pobudzała ją do śmiechu, zdawało się, że go zna czy gdzieś widziała, ale, że gość milczał, wytrzeszczwszy oczy, skłoniła się mu pierwsza i zapytała:

— Kogo mam przyjemność?

— Laminowski.

— A... pan!...

Laminowski zbliżył się i ujawniwszy rękę panny Sośnickiej, siarczysty na niej złożył pocałunek...

— Po znajomości można i w drugą rączkę—dodał—i cmoknął znowu. Na ucziwość powiadam, że zgapilem się... Patrzę i nie poznaję, poznaję i nie wierzę, pani czy nie pani, a jednak pani, tylko ze ślicznej zawsze panny Jadwigi cudo się zrobiło i basta!... A jak—mnie pani znajduje?...

Pytanie byłoby za śmiało, gdyby równie śmiała odpowiedź być mogła... Ale bez odpowiedzi zostawić pytającego sprzeciwiała się grzeczność,—więc rzekła:

— Pan się nie zmienileś nic a nic.

Laminowski chrząknął z zadowolenia i znow na zegarek spojrzął...

— Dwunasta! z uśmiechem odezwała się Jadwiga.—Przepraszam pana, ale muszę do śniadania przygotować.

Skłoniła się i wybiegła.

— Śniadanko—aha!—mruknął pan Ignacy.

Po chwili wszedł Sośnicki z żoną...

— Jestem—jakem powiedział... A! dobrodzieje moje szacunek. Spotkaliśmy się nakonieć—w innych warunkach, mścidzieju, ale ci sami, co i dawniej—co?...

Zaledwie zawiązała się nie znacząca rozmowa, gdy w drzwiach stanęła Jadwiga i rzekła:

— Proszę na śniadanie!...

Laminowskiemu kłapnął wargami i z elegancją podał rękę gospodynii domu...

— Proszę—odezwała się Jadwiga, wskazując na stół nakryty, na którym stała mała flaszeczka wódki i talerz z trzema przekrojonymi serdelkami.

Laminowskiemu twarz się przedłużała,—pan Mateusz nawet zmarszczył się nieznacznie.

— Jadwisiu!

Dał znak córce, by się zbliżyła...

— Co ty wyrabiasz? szepnęła...

— Niema więcej—odpowiedziała dość głośno...

Laminowski to zasłyszał i policzki wydał...

— Czem chata bogata—odezwała się Sośnicka...

— Do ciebie, sąsiedzie! rzekł Mateusz, nalewając swój kieliszek...

— O tom wpadł!—mruknął pod nosem Laminowski...

— Wybaczył skromnie—mówił Sośnicki, siadając przy gościu...

Zjedli po pół serdelka, dwie połówki gościowi zastawiając...

Laminowski nie bawił długo—głodny był i zły...

— To, mścidzieju, u nich nędza wierutna... A tom wpadł!—szepnął, opuszczając próg państwa Sośnickich.

Zatrzymał się wpół drogi.

— Ale ta Jadzia?...

Wczoło się stuknęła...

— Na śniadanie, mścidzieju, przychodzić do Mateusza nie warto—ale dla Jadzi...

Zamyślił się...

— Niech ją jasne pioruny, jaka ładna!...

Ruszał brwiami, głową kręcił, ale poczucie głodu przemogło zachwyty i zaczął rozmyślać nad sposobami zapewnienia sobie lepszego śniadania niż u Sośnickich.

Pan Mateusz zirytował się trochę na córkę...

— Ee—to już dyabeł wie co!—gderał...

— Co, tatusiu?...

— Myślałem, że choć pieczeni dasz kawałek?...
 — Nie było, tatusiu!...
 — Kotleta?
 — Nie było, tatusiu...
 — Klusek z serem zresztą!...
 — Tobysmy napewno na dzień drugi pana Laminowskiego znów mieli.

— To prawda... ale... widzisz...
 — Na siebie biorę odpowiedzialność, tatusiu.
 — Na siebie!—burczał czas jakiś pan Mateusz, ale przypomniawszy wczorajsze swoje spotkanie się z panem Ignacym, jego znajomości, skoczenie w bok, rozstanie się z żoną, zaproszenie na obiad i zaproszenie się na śniadanie dzisiejsze—rad był w duchu, że pozbył się uciążliwego gościa, który, jak mówiło wszystko, do szeregu pieczeniarzy się zapisał.

Oleś, dowiedziawszy się o figlu siostry, serdecznie się uśmieł, a wypadł do domu po to, by powiedzieć Jadwidze, że spotkał się z panną Maryą Kamenką, którą wypada przecie odwiedzić...

— Ależ właśnie dziś miałam to uczynić, braciszku... Przecie liczę na jej pomoc i przyjaźń.—Zaraz idę nawet.—Ach! nie widziałam Maryni tak dawno! lat... cztery.—Zawsze taka dobra była dla mnie, dozogoną przysięgłymi przyjaźni.

— Już to przyjaźni kobieca! rzekł Aleksander...
 Ale Jadwiga uśmiechnęła się tylko—wzięła szybko kapelusza na głowę i żegnając wszystkich ukłonem wybiegła z pokoju.

— Jakże ci idzie?—spytał Sośnicki syna.
 — Na trzykroćtysięcy rs. zaasekurował dziś Jachnenko swą fabrykę cukrową.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR.

Marcela, komedia w 4-ach aktach, W. Sardou w przekładzie Zygmunta Sarneckiego.

„Młodość marzy, dojrzały wiek tworzy, starość wspomina tylko.“ Niecofniony wyrok to przeznaczenia, przeciw któremu napróżno sarkać, napróżno bunt podnosić i losy kłać srogie. Umiejętnością powinno być usunięcie się w porę, by ani jednego listka nie stracić ze zdobytych raz w wrzynów, by w pracy twórczej, na jakimkolwiek bądź polu dokonywanej, nie dostrzeżono powolnego zaniku talentu, omdlenia lotu myśli, zniżenia się do poziomu, nad który się podniosło i stało długo, zwracając na siebie oczy całego świata.

Smutną jest rzeczą przeżyć siebie. Ludzie, krótką mają pamięć, zapominają łatwo o chwilach rozkosznego zadowolenia, jakimi ich obdarzałeś, o tem, że byłeś niegdyś ich i fortuny pieszczochem— i zwolna gaśnie sława twoja, przyćmiona tem tylko, że, doszedłszy do szczytu, nie mogłeś, choćby o krok jeden, posunąć się wyżej jeszcze, nie umiałeś zatrzymać się na nim, syt powodzenia, sławy i holdów, jakie odbierałeś od ludzi. Pojmując twój ból, gdy samokrytycyzm ci powie: „Stój—tu jest kres twojej drogi!“ Każdy krok nowy, postawiony już przez ciebie będzie usunięciem się w dół, z bogatego skarbcia twojej twórczości wydobyłeś już złoto wszystkie, okruchy zaś, które w nim zostały, są to odłamki kruz wspaiałych, z których piłęś natchnienie piersią całą. Nie trącaj ich dzisiaj, bo nie odlejesz już posągu z tych resztek; gdzieniedzie jeszcze błysnie metal szlachetny, lecz więcej będzie popiołów przepalonych, które rozpadną się szybko za dotknięciem dłoni, sięgającej po laury przez siebie zdobyte.

Bolesne to jest, bolesne bardzo przyznanie się do niemocy. Ale w czas zamilczeć mądrością się nazywa.

Wiktoryn Sardou, spadkobierca Scribe'go, którego dzieła sceniczne obieły prawie świat wszystek i wielkiem cieszyły się uznaniem,—mając na barkach swoich brzemie lat sześćdziesięciu pięciu, nie chciał zerwać z tradycją pisarską, dać za wygraną zwycięzającemu wszystkemu czasowi i na bok się usunąć, bawiąc się wspomnieniem już tylko zdobytych niegdyś wieńców, okłasków i—pieniędzy. Sardou nie wierzył w wypalające się ognisko swoich natchnień. Pisał wciąż dalej, nie uważając, że coraz mniej nowych wkłada myśli do prac swoich, że pamięci jego przypominają się dawne, znajome postaci, że wsuwają się wypowiedziane już raz myśli, odtwarzają się sceny i snują się nici intryg, splątane ręką coraz mniej udolną. Wygasła powoli lampa twórczości—zostawały tylko wspomnienia: we wspomnieniach tych widziane obrazy dawne brał za postaci żywe i—może dziwił się mistrz stary—że w widzach nie dostrzegł już upragnionego zachwytu, że—znużył zamiast rozśmieszyć. Do poronionych płodów komedypisarza francuzkiego musimy zaliczyć „Marcelę“ sztukę czteroaktową, wystawioną d. 17-go b. m. na deskach teatru Letniego.

Gdyby zadaniem naszym było rozbierać całość kształt prac omawianego w tej chwili pisarza, zobaczyć jak daleko sięgał do tajemniczej głębi duszy ludzkiej, co z niej wydobył, o ile był sumiennym lub umiejętnym badaczem,—przekonalibyśmy się, że umysł Wiktoryna Sardou nie był filozoficznym umysłem, że jego psychologja nie była zbyt głęboką, że był on przewybornym sztukmistrzem, sliżgającym się tylko po powierzchni dusz ludzkich, obalamucującym widzów kilku świetnemi rzutami blasków silniejszych, którymi olśnieni, nie szukali prawdy już głębiej, biorąc szych złoty za złoto samo, obrazu tło mozaikowe za obraz w najdrobniejszych wykończonych szczegółach.

Sardou był mistrzem techniki, zwracającym głównie uwagę na zręczne poplątanie i rozplątanie intrygi; w utworach jego, wszystkim była—fabuła, porywał dowcipem, grą wyrazów, lekką satyrą i choć wojował nieraz blaszanym mieczem, miecz ten świecił, błyskał, nie zabijał, nie krwawił, nie zadawał blizn, nie karciał nawet—ale kręgi błyskawiczne w arabeski przesłiczne płaczące się, bawiły, zachwycały widzów i dały mu poczesne miejsce w rzędzie najpierwszych prawie komedypisarzy tegoczesnych.

To genialne, że się tak wyrazimy, szalbierstwo—nie ubliża w niczem talentowi p. Sardou. Nie każdy ma zdolności nurkowania, spuszczenia się do głębi morskich i wynajdywania tam koralu i pereł.

Sardou był doskonałym tylko pływakiem.

Mniejsza, co się działo pod pokrywką fał, on chwycił ich błyski, lekkie zmarszczenia i koła świetne, ruchem rozbieżnym ku brzegom płynące. I dobrze z tem było jemu i nam. Ale gdy z biegiem lat umysł ocieężał, serce ochłodziło a świetna fantazyja opuściła lot swoich skrzydeł; gdy miecz blaszany w osłabłych rękach starego pisarza błyskawicznych kół zakreślać już nie mógł: ujrzelimy wtedy jaką bronią wojował, na czem polegało głównie to szermierstwo, dające mu nieraz przed innymi pierwszeństwo. Bez fabuły, wzbudzającej interes, bez misternego poplątania intrygi, ludzie, jakich nam Sardou dawał, sami przez się nie wiele są warci. Pustka jest w ich głowach i sercach, a bohaterstwo, jeżeli było, nie było zasługą ich życia i czynów, lecz nakazem autora, który w szlachetność ich czy wielkość wierzyć kazał, bez przekonywających dowodów. Szybkość wypadków, scen plątanina, zajęcie umysłu widza błyskotkami powierchownemi—nie dawały mu możliwości przyjrzenia się bliższego prawdzie rzeczywistej i widz się bawił, autorowi na słowo wierzył. śmiał się, bił brawo, dokładając liść po liściu do wawrynow ubieranych już przez ulubionego pisarza. Lecz pieszczoch fortuny, stanawszy u szczytu powodzenia, nie chciał zrozumieć, że u kresu

stanął. Osłabiona siła twórcza wymówiła mu posłuszeństwo, dowcip zawiódł, skarbiec opróżnił się—więc sięgnął po swoje i nie swoje pomysły, po dawniejsze postaci, sceny i scenki,—z różnorodnych odłamków zrobił odlew nowy, a że myśl ocieężała zdobyć się już na bogatą drapekę nie mogła—wyszedł posąg bezduszny, niezadarny zewnątrz, wewnątrz próżnią dzwoniący.

Taką jest „Marcela“ ostatni utwór upadającego szybko talentu Wiktoryna Sardou.

Świat, do którego wprowadza nas autor, jest światem ohydnie zepsutym, a tak okrutnie płaskim, że aż się nie chce w tę płaskość wierzyć—i gdyby choć tę płaskość wynagradzała nam komiczność postaci? Nie—nic nie okupuje tej przedstawionej nam głupoty i nizkości.

Rzecz się dzieje w zamku baronowej Couturier położonym nad morzem, w Bretanii. Liczne towarzystwo bawi w gościnnym domu baronowej, próżniaczo czas spędzając na ploteczkach i romansach brzydkich. Widzimy więc panią Delfinę de Valtamiers młodą wdowę, narzeczoną barona René starszego syna baronowej, Simonę, jej młodszą siostrę, dziewczynę, jako też dwie siostrzenice barona: Djanę i Jolantę la Bardette, z mężem, który oddany sportowi jazdy na rowerze, nie wiele dba o swoją towarzyszkę życia. Zapoznajemy się tutaj i z p. Danielem Raibaut, powieściopisarzem, który mógłby być pierwszym lepszym subiektem w jakimś sklepie korzennym, tak nie owo jego powieściopisarstwo nie mówi, tak niezem danej nie charakteryzuje postaci. Jest i jakiś Jubelin, figura podrzędna i wuj z synowcem: p. Varignolles z Chatillac'iem.

Ów Chatillac, którego rolę Wolski znakomicie odegrał, jest duszą towarzystwa. Każdy z tych panów i pań, panien nawet, mają dusze do gruntu zepsute, flirtują, romansują, prowadzą, z młodemi dziewczętami nawet, takie rozmowy, jakby to były pokójówki nie goście rozumnej, zacnej, zanadto może tylko pobłażliwej pani baronowej Couturier.

Delfina jest narzeczoną René'go, lecz, że w tej chwili narzeczonego jej nie ma w zamku, pozwała sobie zabawiać się w romansik z powieściopisarzem, co nie uchodzi uwagi Simony, patrzącej z pobłażliwością na ten wybryk siostry.

Jak każde światło razi wzrok ludzki, przywlekły do ciemności, tak temu towarzystwu z pod ciemnej gwiazdy jest solą w oku Marcela, lektorka baronowej, dziewczyna skromna, cicha i uczciwa, do której prawdziwym uczuciem miłości zapłonął Olivier, młodszy brat Renégo. Raz zauważono, że w porze nocnej stał pustką pokój Marceli. Marcela wtedy na górze u baronowej była, ale plotkarskie towarzystwo inaczej to zrozumiało. Widziano nieraz towarzyszącego Marceli młodego Oliviera—domysłano się ich miłości, teraz—ten pokój pusty?... Snują się domysły wstrętne i towarzystwo całe wybiera się na przeszpiegi.

Rej oczywiście wiedzie—Chatillac.

On to z isticie godną lepszej sprawy przebiegłością—dowiaduje się, że właściwe nazwisko panny Marceli Aubert jest de Treville. Zrewidowana przez niego kartka na kufrze Marceli powiedziała, że lektorka baronowej przyjechała z Genewy. Przejierając zaś jej pakunki, znalazł jakiś rachunek Algierskiego kupca, wystawiony dla panny Marceli de Treville. I oto związek intrygi—Chatillac po nici do kłębka dojsć musi.

Na kąpielach w St. Malo bawi właśnie sekretarz prefektury algierskiej, kolega szkolny Chatillaca. Zapytany telegraficznie o pannę de Treville, odpowiada, że Marcela kryminalnie miłosny miała wypadek w swem życiu. W Algierze bawiąc, miała kochanka, niejakiego p. Villeras, do którego brat Marceli był strzeżnik. Sprawa rozegrała się przed sądem. Jerzy de Treville uwolniony od odpowiedzialności został, bo stawał w obronie honoru siostry.

Otrzymała depesza odczytywana zostaje w parku przy blasku zapalki, która gaśnie. Zapalają więc drugą z nielepším skutkiem; towarzyszą drzy z ciekawości, więc każdy zapala zapalkę i przy takim świetle dowiadują się o tajemnicy życia Marceli i ze śpiewem tryumfu, z płonącymi zapalkami, opuszczają ogród ci pół dzieci, pół ludzie o sercach pustych i głowach płaskich.

W pierwszej i drugiej odsłonie akcja stoi na miejscu. Dwa akty wypełnia tylko opowiadanie dotyczące się przeszłości biednej, oszkalowanej Marceli. Oczywiście, że taka kobieta nie może znajdować się w towarzystwie napelniającem dom baronowej—nie może wdziękem jej uleż młody Olivier, potrzeba ją wygnać i przekonać baronową o słuszności podejrzeń.

W istocie—Marcela nie była winną. Zbudził ją krzyk brata. Przerazona, w bieliznie wybiegła na próg swojej sypialni i w tej chwili padł strzał, a u stóp jej runął ranny ciężko Villeras. Ten Villeras, złapany na jakimś oszustwie w grze kartowej, uciekał przed Jerzym. Huk wystrzału sprowadził policję; brat Marceli, widząc, czem mu to grozi—na piekielną myśl spada i mówi, że zabił kochankę swojej siostry. Biedna dziewczyna, dla uratowania brata, musiała winę na siebie przyjąć. Brat umarł później, uzdrowiony zaś Villeras zaczął ją swoją miłością przesładować, tak, że musiała pod przebranem nazwiskiem uciekać do Europy i znalazła się u baronowej, przedstawiona przez jej zacnego jakiegoś kapłana. To wszystko wiemy z opowieści— Tymczasem...

Wraca z podróży René,—przez Chatillaca dowiaduje się o wszystkim, ale plotkarz, chcąc na gorącym uczynku przyłapać Marcelę, łapie do kądzi idącą Delfinę, którą ratuje Simona, mówiąc, że siostra jej jest lunaticzką. Olivier bajce nie wierzy—prawdy całej dowiaduje się z ust Marceli, która też pozyskuje wiarę i baronowej. Lecz oto zjawia się Villeras, dopominający się raz jeszcze o rękę Marceli. Odtrącony—postanawia się zemścić, a mając w swych rękach list Jerzego, jedyny dowód niewinności Marceli, pali go w jej oczach, dając tem dowód, że w środkach przebierać nie będzie.

Daremno Olivier prosi Marcelę o wzajemność—teraz już ona nie może być jego żoną, nie złoży żadnych dowodów swej niewinności, nie zmaże zczerstw tak hojnie miotanych na nią. René chce brata przekonać, że kochana przez niego kobieta jest niegodną jego miłości. Olivier zgadza się na próbę, a próbą jest zmuszenie do rozmowy sam na sam raz jeszcze Marceli z Villerasem, René zaś i Olivier mają ich pode drzwiami podsłuchiwać. Marcela się zgadza. Villeras zdradziłby się—lecz zwrócił jego uwagę szmer z drzwiami. Domyśla się podstęp i mówi głośno teraz, bezczelnie: *byłaś moją kochanką.*

Stawka przegrana—bo jakkolwiek Olivier nie wierzy w winę kochanki, René obelgę ciska jej w oczy, mówiąc, że dla pieniędzy Olivier'a przyciąga go ku sobie.

W ładnej bardzo scenie miłośnych wyznań, w scenie, w której się pokazał dawny lwi pazur Sardou-Marcela zniewolona przez Oliviera, oddaje mu się, nie—jako żona, lecz jako kochanka. Niech zobaczą ludzie podli, że kocham tylko ciebie—każdej chwili możesz mnie porzucić, bo żoną twoją nie będę.

Mimo wszystko i szlachetna baronowa nie wierzy w winę Marceli. Z pobłażaniem znacznej niewiasty, patrzy na świat ją otaczający—Marcelę stawia wyżej i oto ma być, w inny sposób tylko, powtórzony figiel z Villerasem.—René wątpi o skuteczności próby, lecz zgadza się, gdy matka mu oczy otwiera na zacość jego własnej narzeczonej. Daje mu kokardkę od trzewika Delfiny znalezionej pod łóżkiem w pokoju powieściopisarza.

Tymczasem wezwany Villeras zasiada do gry w bezika z baronową. Rozmowa prowadzona jest bardzo zręcznie.—Baronowa mówi mu, że wypędza Marcelę, o jej winie jest przekonana, a—jeżeli, Marcela odtrąciła rękę Villerasa, to tylko dla tego, że on nie usłuchał jej błagań i że

i spalił list jakiś.—Villeras zaprzecza tym łzom i błaganiom.—Powoli chwytą się na wędkę, mówiąc, że Marcela nie błagała, lecz obrzuciła go obelgami i—dla tego tylko list spalił.

— A więc był list?—spaliłeś?
Klamka zapadła.— Villeras skonfundowany opuszcza dom baronowej, sprawa się wyjaśnia, Marcela zostanie żoną Oliviera.

Piękną bez zaprzeczenia, choć nie nową postacią jest baronowa; dodatnią także Varignoles wuj Chatillac'a, którego gorszy zepsucie dzisiejszego świata. Reszta—to robactwo pełzające przy ziemi. W sztuce całej niema żadnej postaci charakterystycznej, która dałaby aktorom możność do popisu. Lew się zesterzał, gwiazda Sardou zbladła, znakomity swojego czasu pisarz na dawnych może usypiać wawrzynach, ale już mu po nowe—nie sięgać.

O grze artystów nie będziemy wspominali. Zwrócimy tylko uwagę, że ruchy takiej Simony (Horwat) są to ruchy subretki. Mogą być do szpiku kości zepsute panie wielkiego świata, ale umieją chodzić przyzwoicie i więcej salonową mieć gestykulację.

K. Gliński.

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Poezya Lamartine'a ma swój czar pociągający, brak jej atoli głębi filozoficzno-uczuciowego zła—nia się z naturą; nie zdołała ona podśluchać tętna żywiołów i głosów wszechświatowej harmonii ducha z przyrodą.

Po tych poetach przyszedł z ognistym mieczem ducha Wiktor Hugo. Z fantazyją, która unosiła na olbrzymich swych skrzydłach gwiazdy idei, poeta ten przebiegł przez szeroki świat przyrody i ducha, a wszystko, co tam legło, widział w ogromie, w kształtach tytanicznych. W skromnym kwiatku nawet oglądał nieskończoność całą. Wszystko, co przechodzi miarę zwykłą w dobrem, czy w złem, w pięknie, czy w brzydocie, podnosił na wyżyny ideału. Był poetą nie harmonii kształtów, lecz ich ogromu.

Wzniósłszy się na wyżyny, widział więcej, niż ci, co pełzają po nizinach, a usłyszał tam głos, jakiego usta ludzkie wydać nie potrafią... Głos ten szumił potężnie i rozłamał się na dwa oddzielne dźwięki. „Jeden z tych dźwięków pochodził od morza i brzmiał pieśnią chwały, hymnem szczęścia... Był to głos fal, które rozmawiały z sobą... Wspaniały ocean wydawał głos radosny i spokojny, śpiewał, jak harfa w świątyniach Sionu i chwalił piękno stworzenia. Drugi dźwięk brzmiał płaczem, krzykami, obelgami i przekleństwem. To płakała ziemia i człowiek płakał... Jeden z tych głosów był głosem przyrody, drugi głosem ludzkości.“ W bezmiarze zaś wód szerokich i na wyżynach nieba króluje potęga Stworzyciela. Na zapytanie „w jakiej modlisz się świątyni?“—bohater jednego z utworów poety odpowiada:

„—Kościół... błękitów sklepienie!

„A kapłan—wtem niebios przestrzenie

„Srebrnym buchnęły blaskiem, księżyc w peł-
[ni krasnej,

„Jak wielka hostya, wzniosł się na przestrze-
[ni jasnej,

„A w ciszy wszystko drżało—zwierz, drzewa,
[natura—
„Rzekłem, wskazując niebo, co srebrzyła
[chmura:

„Patrz!—błękit kościołem,

„Bezbrzędne jego sklepienie...

„A dziś ofiary sam Bóg apostołem...

„Czołem!...

„Oto podniesienie!...”

(Przekład Władysława Turnowski).

A chociaż ludzkość jest bożyszczem dla tego poety, to jednak rzuca on ją w proch przed majestatem Boga, razem z jej wielkością i chwałą:

„Korony, mitry lśniące, błyszcząc krótkotrwałe,
„Czyż są warte żdźbła trawy, którą Bóg w swej
[chwale

„Stworzył na gniazdo dla ptaka?”

(Przekład F. Faleńskiego).

Zagadka bytu ludzkiego przemawia zawsze do serca śpiewaka gorętszem słowem, niż pieśń przyrody. Ta ostatnia stanowi tylko przygrzywkę do śpiewu dusz ludzkich, do hymnu idei, lub symbol życia duchowego, obrazy dla przenośni i t. p.

„Zorza mówi; jam jest dzień;

„Ptak: jam dźwięk, co w duszy gra;

„Serce moje: miłość—ja!”

(Przekład Władysława Ordona).

Barwy tęczy kładzie fantazyja poety na dusze, które w wieczność odchodzą. Dni z drzewa życia ludzkiego, jak liście opadają. W „Śpiewach zmroku,” marząc o krainie wiecznej wiosny, widzi w niej symbol duszy ludzkiej, w której nieustannie zachwyty płoną. Sercu człowieka każe spocząć w śnie o miłości, który wonią kwiatów technie.

Wiktor Hugo maluje przyrodę barwami różnorodnymi, często jaskrawymi; niekiedy nawet wpada w przesadę, ale przesadę olbrzymią. Odtworzył ten poeta w naturze nie stronę jej zewnętrzną, lecz dąży do oddania treści jej wewnętrznej, jako symbolu idei; pragnie ujrzeć w jej głębi, jak na dnie fali, obraz świata duchowego. W przenośniach robi niekiedy kroki olbrzymie i łączy z sobą dwa obrazy, stanowiące przeciwieństwo wybitne. Tworząc te przenośnie, wpada czasami nawet w nienaturalność i napuszystość, połączoną z chłodem retoryki. Zestawia np. ból kochanki po stracie ukochanej z cierpieniami węży, któremu srogi topór pocał żywe ciało.

Zazwyczaj jednak robota życia duchowego ożywia w pieśni jego przyrodę, daje jej usta, pełne olbrzymich słów ducha, każe nieskończonym legionom gwiazd przemawiać głosem: to potężnym, to cichym, przemawiać melodią, rozbrzmiewającą w tonach niezliczonych; każe im schylać korony ogniste w uwielbieniu przed Stwórcą; każe błękitnym falam morza, które ziemia rządzić nie zdoła, i których wola ludzka nie powstrzyma, ażeby, na rozkaz Boga, zginały swój grzbiet, pianą tryskający. I poeta słyszy głosy, dolatujące go z wyżyn, ze światów obcych mu i odległych, i czuje życie duchowe wszechświata. W tem odczuciu Wiktor Hugo zbliża się poniekąd do panteizmu, który oglądamy w morzu głębokich natchnień Goethego, Byrona i Shelley'a. Brak mu tylko harmonii, brak zadumy metafizycznej i spokoju filozoficznego twórcy „Fausta.” brak mu bezpośredniego zła się z żywiołami i duchem przyrody Shelley'a, brak często miary i prostoty, brak wreszcie poczucia kształtów rzeczywistych. Fantazyja tego poety rzuca często barwy zbyt silne, zbyt jaskrawe, wskutek czego bogactwo kolorytu przechodzi niekiedy w pstrokaciznę. Nie raz z duszy jego wypadnie błyskawica potężna, rozświeci horyzonty szerokie, ale niebawem po niej wystrzeli fajerwerk sztuczny.

*

*

„Nie zatrzymując się nad odczuciem przyrody w poezji czasów najnowszych, gdyż to zanadto by pracę moją rozszerzyło, tembardziej, że nie

znaleźlibyśmy t... potężnych słupów, które drogi nowe wskazują, muszą jednak zatrzymać się nad jednym tylko twórcą, który udział przyrody w poezji, a w szczególności w dramacie, zupełnie odmiennie od poprzedników zrozumiał i odtworzył. Mówię tu o Maurycym Maeterlincku.

Poezja Maeterlincka to jeden z potężniejszych odłamów tak zwanego „dekadentyzmu“ nowoczesnego. Piewcy tej szkoły, zapatrzeni w głębie ducha własnego, badają najsubtelniejsze, zazwyczaj bezpośrednie, a często napół świadome jego wrażenia. Maeterlinck to wizyonista, pragnący zajrzeć do morza tajemniczego tych wrażeń, które żyją w głębi duszy ludzkiej, pokryte jeszcze mgłą nieświadomości, a które mają kiedyś stworzyć nowy świat ducha. Oto sam odkrywa nam zasłonę tego świata, do którego zajrzeć pragnie: „W gruncie rzeczy, mam o sztuce wyobrażenie tak wielkie, że jednocześnie je z tem morzem tajemnic, które w sobie nosimy. Myślę, że sztuka winna być dla człowieka tem, czem człowiek jest dla Boga,—a być może, iż Bogu samemu trudno niekiedy zdać sobie sprawę z człowieka... Mam przedewszystkiem szacunek niezmierny dla wszystkiego, co nie da się wyrazić w istocie ludzkiej, co jest milczące w umyśle, co nie znajduje odgłosu w duszy, i żałuję człowieka, który nie czuje w sobie ciemności... Jest w nas w morze wewnętrzne, prawdziwe „mare tenebrarum,“ w którym szaleją burze dziwaczne, nie dające się ani ująć w dźwięki, ani opisać; to zaś, co uda się nam wypowiedzieć, zapala w niem coś jakby odbicie gwiazdy na tle fali czarnych i burzliwych.“ Z największą też uwagą przysłuchuje się poeta „niewyraźnym głosem człowieka,“ pociągają go nadewszystko „nieświadome odruchy bytu;“ chciałby „z badać wszystko, co nie jest sformułowane w istnieniu naszym, co nie znajduje wyrazu w śmierci, lub życia, co szuka głosu w sercu,“ chyli się z ciekawością „nad instynktem w znaczeniu światła wewnętrznego, nad zdolnościami i wiadomościami niewyjaśnionymi, zaniedbanymi, lub obumarłymi, nad pobudkami niewyrozumowanymi, nad cudami śmierci, nad tajemnicami snu, w którym, mimo zbyt silnego wpływu wrażeń dziennych, dano jest ujrzeć niekiedy przeblask jakiegoś bytu zagadkowego, rzeczywistego, pierwotnego,“ pociągają go „wszystkie nieznanne potęgi duszy ludzkiej, wszystkie te chwile, kiedy człowiek wymyka się baczności własnej,“ pociągają go „tajemnice dzieciństwa, tak dziwnie uduchowionego przez wiarę w nadprzyrodzonosc.“

Zaglądając w głębie tego świata mistycznego Maeterlinck chce nam dać scenę, która ma być dla widza świątynią marzenia, a w świątyni tej przemawiać mają głosy tajemnicze, idące od jednego wielkiego świata, który jest zarazem światem przyrody i światem ducha. Przyroda ma być nie tłem malowniczym, lecz jednym z czynnych działaczy na scenie, ma nam nieść przecucia, sugesty, drgnienia instynktu, strach, jakiś powiew tajemniczy od świata nadzmysłowego, jakieś szmery, jakieś tchnienie nieskończoności. Aktora człowieka wyrzuca Maeterlinck ze sceny; może ona być teatrem marynetek, lub jakimkolwiek innym, byle nie takim, jaki obecnie posiadamy. Mają się w nim odbywać siły przyrody, jako siły żywe, samodzielne, odrębne, będące w związku z mistyczną głębią duszy ludzkiej, z tą zagadkową „Psyche,“ która spogląda na nas twarzą milczącą, tajemniczą. Coś na podobieństwo fatum starożytnego ma kierować krokami bohaterów, tylko że fatum istniało poza granicami duszy ludzkiej i przyrody, gdy tymczasem siły, działające w dramatach Maeterlincka, żyją w nas samych i w zjawiskach

natury. Postaci ludzkie w dramatach tego poety są zaledwie cieniami, marynetkami, któremi siły wyższe poruszają.

Dla lepszego wyjaśnienia charakterystyki powyższej, zacytuję treść dwóch choćby utworów Maeterlincka.

W ciemnej sali starego zamku gromadzi się rodzina, która przed chwilą odeszła od łoża chorej położnicy. Stary dziadek—ślepiec, zatopiony w głębinach ducha własnego, ma ciągle przecucia, prawie materyalne wizye czegoś, co nadchodzi, a co ma być śmiercią. Zdaje się oglądać niepokojące zjawiska przyrody, słyszy jakieś szmery, kroki czyjeś... ktoś wchodzi do ogrodu. Słowiki umilkły... Jakaś siła tajemnicza nie daje zamknąć drzwi ogrodu. Słyszy jakby brzęk ostrzenia kosy... Czuje, że ktoś wszedł do mieszkania... Dzwonią na służącą. Ta idzie po schodach, a przy niej słychać czyjeś jeszcze kroki. Może to siostra — zakonnica, której oczekują. Nie! Służąca pojawia się sama. Z uderzeniem północy, już nie tylko ślepcowi, ale innym też członkom rodziny zdaje się, że słychać jakiś szmer niewyraźny, jakby pochodzący od kogoś, zrywającego się z krzesła z wielkim pośpiechem. Dziecko w sąsiednim pokoju zakwiliło trwoźnie po raz pierwszy. Wszyscy wołają: „Światła! światła!“ W tej chwili dają się słyszeć głuche, przyspieszone kroki, jak gdyby kogoś, biegnącego ku pokojowi, w którym leży chora... Chwila milczenia śmiertelnego... Wszyscy nasłuchują w przerażeniu niemem, aż wreszcie drzwi pokoju otwierają się zwolna, światło z komnaty sąsiedniej wpada do sali, na progu staje Siostra miłosierdzia w odzieży czarnej i chyli się, czyniąc znak krzyża, aby zwiastować śmierć chorej.

Jeszcze czynniejszy udział przyjmuje natura w najlepszym może dramacie Maeterlincka p. t. „Ślepcy.“ Widzimy tam tłum biedaków, którym na małej wysepce wśród lasu podczas przechadzki umarł przewodnik—kapłan. Nieszczęśliwi nie wiedzą o tem; myślą, że odszedł i powróci. Tylko ślepa waryatka z dzieckiem na ręku trze sobie gwałtownie oczy, jęcząc i zwracając się uparcie ku nieruchomemu księdzu. Ślepcy czują niepokój dziwny, który podniecają różne zjawiska przyrody, jakieś odgłosy i szmery. Najstarszy woła: „Jest coś, czego nie rozumiem.“ Budzą w nich trwogę ptaki, które przelatują, wiatr, który wieje z północy, liście spadające. Żaden szmer nie uchodzi ich słuchu. Słyszą ryk zbliżającego się morza. Słychać wreszcie jakieś kroki po liściach uschłych. Wbiega pies, ciągnie jednego ze ślepców i doprowadza do nieruchomego księdza. Nieszczęśliwi dowiadują się wreszcie o strasznej prawdzie.. Cienie nocy nadchodzą, chłód mrozi ziemię, śnieg zaczyna padać płatami wielkimi. Dzie-

cko waryatki zaczyna kwilić: „Ono widzi! ono widzi! Ono musi coś widzieć, skoro płacze.“ Wołając tak, młoda ślepa niewiasta chwytła dziecko na ręce i posuwa się w kierunku, z kąd zdaje się zbliżać szmer kroków. Pozostałe kobiety idą za nią z niepokojem i otaczają swą przewodniczkę. Dziecko zwraca się za szmerem stąpań. Kobieta podnosi je w górę przed gromadką ślepców... kroki pośród nich się zatrzymały... Po chwili milczenia z piersi najstarszej z niewiast wyrwa się okrzyk: „Miej litość nad nami!“ Znowu milczenie... Dziecko płacze coraz rozpaczliwiej...

Oto w całej grozie straszny dramat niedoli ludzkiej, oddanej całkowicie na łaskę i niełaskę siłom przyrody, która ich unicestwia. Śmierć pośród nich stanęła. Człowiek jest tu tylko ślepcem narzędziem tajemniczych sił wszechbytu. Cały dramat odgrywa się w naturze; potęgi jej są aktorami, człowiek zaś tylko ofiarą bierną, liściem, którym wichur pomiatą. Ci „Ślepcy“ Maeterlincka to my wszyscy wobec wszechbytu, wobec nieskończoności.

Maeterlinck wywołał wrzawę w piśmiennictwie. Niektórzy go lekceważą, ale są i tacy, którzy go na wyżyny geniuszu wznoszą, wywyższając nawet nad Szekspira. Jeden z naszych pisarzy, pan Zenon Przesmycki, przypuszcza, że poeta ten stworzył „dramat kosmiczny.“ Nie myślę wdawać się w ocenę twórczości Maeterlincka.—Byłoby to przedwczesnem. Dał on niezawodnie sztuce nowe źródła natchnień, otworzył jej głębie wszechbytu. Czy twórcza myśl ludzkości znajdzie w tych głębiach światło prawdy i piękna, czy natura przemówi z nich dreszczem nowych zachwyty, czy da nam rozwiązanie zagadki istnienia? A może poezja Maeterlincka pozostanie nazawsze pełną mroków tajemniczych świątynią marzenia bezpłonnego? Na pytania te, zdaniem mojem, dopiero przyszłość odpowiedzieć zdoła. Mnie szło tylko o to, aby, o ile możliwości, wiernie przedstawić czytelnikom wielce oryginalny zwrot w odczuciu i odтворzeniu przyrody w dramatach symbolisty belgijskiego. Ja odczuwam w nich pewien czar poezji, jaki wiał niegdyś z baśni, które mi opowiadała piastunka w latach moich dziecięcych, czar o tyle większy, o ile talent i natchnienie poety przewyższają naiwne gawędziarstwo protodusznej wieśniaczki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 3 powieści, p. t. *Dla zabicia czasu*, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Wolne chwile, przez Szczęsną.—Twórczość dramatyczna Juliusza Słowackiego, przez P. Chmielowskiego (dalszy ciąg).—Kazimierz Gliński. Wróci! Powieść. (dalszy ciąg).—Teatr, przez K. Glińskiego. — Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje: *Dla zabicia czasu*, powieść, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. Arkusz 3.—Przegląd mód. 18 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.—Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою.—Варшава, 10 Сентября 1897 г.